

bnie jak siostra i ona umarła? Mógłbym już czytać gazety, ale starannie ukrywano je przedemną. Moja pielęgniarka mogłaby mnie z pewnością objaśnić, ale choć taka była pocziwa, lękałem się pytać o osoby obcej o rzeczy tak dla mnie ważne i bliskie.

A jednak chciałem wiedzieć, chciałem koniecznie wiedzieć...

Chciałem zaryzykować jedno jedyne pytanie. Zapytałem o sąd policyjny. Czy już się odbył? Jeżeli powie, że tak — będę wiedział, że Karmela umarła. Ale ta wiadomość... tak nagle... zabiłaby mnie, czułem to. Więc już nie pytałem o nic, leżąc niespokojny, gdy wszedł doktor i chcąc mnie ucieszyć, przemówił z uśmiechem:

— Dzisiaj ma się pan już tak dobrze, że może pan usłyszeć dobrą nowinę. Czy poznaje pan ten pokój?

— Jestem w szpitalu, nieprawdaż?

— Właściwie tylko w prywatnym mieszkaniu pana Hageny, zarządcy. Jesteś pan obecnie już tylko zatrzymany w areszcie jako świadek.

Nie wiem, co odczułem silniej, radość, czy przeżycie.

pr — Co? Dlaczego? Co się stało? —

— Nic się nie stało — zaczął się cofać doktor, chcąc mnie uspokoić. — Nic tak dalece. Prostu mieli już zastanowić się, a pan nie jesteś z tych ludzi, z pomiędzy których rekrutują się zbrodniarze.

— To niczego nie dowodzi — odpowiedziałem, gorączkowo ciekaw prawdy, a lękając się usłyszeć ją. — Zbrodniarze rekrutują się z pomiędzy wszelakich ludzi, a policja nie filozofuje. Coś musiało zaś... Ale niech mi pan lepiej nie mówi... niech pan pośle po Cliftona. To mój przyjaciel; ja lepiej zniosę...

— Otóż i on — odezwał się doktor, gdyż równocześnie otworzono drzwi.

Ujrzałem przed sobą pocziwą twarz Cliftona i milcząc, wyciągnąłem do niego rękę. Tak rad mu byłem, a tak skrepowany, tak się lękałem obawy moje zdradzić!

Doktor dał znak pielęgniarkę i na palcach sam wyszedł z pokoju; przechodząc szepnął coś do Cliftona. Za doktorem wyszła i pielęgniarka, Clifton zaś usiadł przy moim łóżku.

— A zatem mój stary... — zaczął.

— Powiedz mi, na mocy czego cofnęli podejrzenia. Nie słyszałem o niczym, już od tylu dni nic nie czytałem. Nie rozumiem powodu.

Położył rękę swoją na mojej.

— Dzielny jesteś, Elwoodzie — zaczął — mam dla ciebie szacunek. Mało kto zniósłby taką mękę i poświęciłby się tak, jak ty. To fakt już teraz uznany, a twoje powody...

Musiałem bardzo zblednąć, gdyż przerwał i zaczął szukać jakichś trzeźwiających środków.

Czułem, że muszę ukryć wzruszenie. Opanowałem się najwyższym wysiłkiem.

— Nie bój się — szepnąłem — siadź. Już dobrze... Nie bardzo jeszcze jestem silny. Siadź, nie potrzeba mi niczego.

Przyjrzał mi się badawczo, a widząc, że bladeść minęła, siadł i zaczął już ostrożniej:

— Możeby lepiej poczekać do jutra z całym tem opowiadaniem?

— O nie, to przecież jeszcze gorzej! Powiedz mi odrazu. Czy — czy stało się co w rodzinie Cumberlandów?

— Tak. Stało się to, czego się obawiałeś... Ależ nie, nie... Karmela nie umarła! Czyś ty przypuszczał, że ja to miałem na myśli? Wybacz mi, ja zapominałem na razie... Otóż nie, ona żyje — trzyma się... należy się spodziewać, że wyjdzie.

Widziałem, że on mnie nie rozumie. Nie było na to rady. Nie śmiałem formułować pytania, patrzyłem tylko błagalnie.

— Ona jeszcze nie wie, co ją czeka — rzekł — Gdy wyzdrowieje, dowie się, że to on...

— On!

— Tak — Artur. Wina jego jeszcze nie do-
wiedziona, nawet go jeszcze powtórnie nie wzywano. Dr. Perry lituje się nad siostrą jego i nad nim. Ale nikt nie wątpi, że to on jest winien i on sam

nawet wprost nie zaprzecza. Ty najlepiej musisz wiedzieć, że to trudno wobec nagromadzonych dowodów — które o wiele silniej przemawiają przeciw niemu, niż te poszlaki przeciw tobie. — Ten niewdzięczny chłopak! Ten... Ten... Daruj mi, nie lubię napadać na takich nieszczęśliwców, których i tak kara czeka, ale myślałem o tobie, o tem, co ty przecierpiałeś w więzieniu, gdzie przecież ani dnia...

— Nie myśl o mnie.

Przerwałem mu ochrypiłym ze wzruszenia głosem. Artur? próżniak, nic dobrego, gbur — ale przecież nie morderca siostry!

— Nie myśl o mnie — powtórzyłem. — Mówisz o jakichś dowodach. Co za dowody? Podaj mi szczegóły. Czy nie widzisz, że trawię się ciekawością? Mów!

Przestraszył się.

— Doktor zabronił podniecać cię i wzruszać. Ale niepewność gorsza od pewności...

— Gorsza, stokroć gorsza, a więc mów!

— To wszystko poszło z tego, coś ty powie

chciałem, żeby odchodził. Chciałem tylko rozważyć wszystko, pomyśleć. Pomimo wszelkich pozorów i poszlak, nie mogłem uwierzyć w winę Artura. Z własnego doświadczenia wiedziałem, jak złudzić mogą okoliczności, pozory. Zresztą znałem Artura może lepiej jeszcze niż jego siostry. Wielkie miał wady, mało w sobie sympatycznych rysów, ale nie sądziłem go zdolnym do popełnienia zbrodni. Prędkiej już Karmela, w której łagodniejszym zresztą charakterze była skłonność do popędliwych uniesień, do zapominania się w szalonym gniewie...

— Karolu — rzekłem z wymuszonym spokojem — jakż oni motyw przypisują temu czynowi? Dlaczego Artur miałby być pójść za Adela do klubu i zabić ją? Gdyby za mną był tam poszedł...

— Byłeś z nimi przy tym ostatnim obiedzie i wiesz, co ona mówiła, co zaprzysięgła względem tego wina. Artura to rozgniewało. Sam przyznaje, że okrutnie był na nią zagniewany i że piąństwem pragnął zagłuszyć swoje wzruszenie. Wiedział, że ona się dowie, jeżeli on pić pójdzie do którego z miejskich szynków; to też odłączył klucz z pomiędzy twoich kluczy i poszedł do piwnicy klubu. Tym sposobem tam się znalazł. Co potem nasąpiło, kto to wiedzieć może? On nie powie, my tylko domyśleć się możemy. Pierścione, gdyby mógł mówić, mógłby wiele zdradzić; ale i tak jest to świadek wymowny.

— Byłem obecny — mówił Clifton dalej — gdy ten pierścionek do-
byto i stawiono go przed jego oczy. Nie oskarżono Artura otwarcie, ale musiał zrozumieć milczenie wszystkich obecnych. A parę dni temu rozpoznał butelkę, znaną w Cuthbert Road i przyznał, że obydwie butelki wy-
niosł z klubu właśnie, zanim zamieć szaleć zaczęła tej nocy.

— Tak, to o tej godzinie właśnie... — szepnąłem.

— Wszedł i wyszedł przez owe okno, tak przynajmniej utrzymuje; ale nie wszystkiemu, co on mówi, można dać wiarę. Niektóre z jego zeznań, wiadomo już, że są fałszywe.

— Które mianowicie? Powiedz mi które Karolu?

— Wiesz, to ciężko zarzucać czło-
wiekowi wprost kłamstwo. Ale on przecież nie mówi prawdy, jeżeli twierdzi, że prosto przez tereny golfowe poszedł na Cuthbert Road... przez co wyklucza tę jazdę do domu, o której my wiemy napewno.

Przymknąłem oczy, nie chcąc się zdradzić. W dziwnem zaiste byłem położeniu. Co im się kłamstwem wydawało, o tem ja wiedziałem, że jest niewątpliwą prawdą. To Karmela jechała do domu, a on, tak jak mówił, poszedł terenami...

Straszną przechodziłem mękę. I to ja sam dałem tę wskazówkę, powiedziałem, dla ocalenia Karmeli i siebie, że widziałem te sanki, wyruszające z przed domu... A gdybym sprzeczował wszystko, dodał, co wiem?

— Ale Karmela?!

— Boże ratuj!... — westchnąłem w głębi duszy i zagryzłem wargi.

— Na sądzie policyjnym będą dokładnie prze-
trząsali i badali zeznania i poszlaki. Ty przy tem nie będziesz. Twoja sytuacja jednakże poprawiła się znacznie. To ci powinno wyjść na zdrowie, chłopcze!

— Biedny Artur! — westchnąłem z całego serca. — Ale za kogo wy go ostatecznie macie, jeżeli zarzucacie mu, że najpierw zamordował rodziną siostrę, a zaraz potem okradł piwnicę z trunkami?

— Ja wiem. Na to być trzeba skończonym by-
dłem. Ale on...

— Artur Cumberland jest egoistą, jest człowiekiem lekkomyślnym, szorstkim, ale skończonym by-
dłem nie jest. Tak źle ja o nim nie sądzę, Karolku; nie mogę uwierzyć, by najpierw truć, a potem dusić tę złą kobietę!

Tu Clifton wyprostował się zdziwiony i jakby na nowo podejrzeniem tknięty.

— Albo on, albo ty! — zawołał z naciskiem. — Tu niema trzeciego. O tem pamiętaj!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Clifton usiadł przy moim łóżku.

dział. Mówiłeś, że jakiś człowiek wyjeżdżał z pod Szumiących Sosien, podczas gdy ty zajeżdżałeś. Powtórzyłem to doktorowi Perry, a on temu detektywowi z Nowego Jorku, którego dla tej sprawy umyślnie sprowadzili. I ten to już wyszedł!

Wilem się w duszy. To było moje dzieło! Osoba, która wyjeżdżała z pod Szumiących Sosien, w chwili gdy ja stałem w sieni klubu, była Karmela — a wzmianka moja niejasna, zamiast zbić ich z tropu doszczętnie, wskazała na Artura!

Clifton tymczasem mówił dalej; ja zaś zdziwiony słuchałem długiego opowiadania o dochodzeniach tego detektywa i o przyznaniu się Artura do tego, że wynosił butelki z piwnicy. Dla wszystkich to było przekonującym, tylko nie dla mnie.

Gdy jednakże przyjaciel opowiedział mi o tem, jak się Artur zachował w czasie pogrzebu, a nadto o tym zdradzieckim pierścionku, znalezionym w trumnie Adeli, takie mię ogarnęło wzruszenie, że aż się Clifton przestraszył.

— Słuchaj — rzekł, zrywając się z krzesła — ja ci to musiałem powiedzieć. Sam tego chciałem. Obawiam się jednak, że za wcześnie, że za nagle... Najlepiej będzie, jeżeli sobie pójdę, zanim znów z czemś się wyrwę, co ci zaszkodzić może!

O ile pamiętam, odpowiedziałem mu coś. Nie